



Nie jestem kosmitą

Niepełnosprawny od urodzenia. Od urodzenia optymistą. Nigdy nie miał problemów z zaakceptowaniem swojej niepełnosprawności. Arkadiusz Skrzypiński stał się znany dzięki sportowi. Najlepszy w Polsce specjalista od jazdy na rowerach napędzanych siłą mięśni rąk czyli handbike'ach, zwycięzca prestiżowych maratonów w Bostonie i Nowym Jorku.

- Czekają pana wkrótce wyjazdy na zawody. Ciekawa perspektywa.

- Nie najgorsza. Od nowego roku będę reprezentował najlepszy handbike'owy team na świecie, niemiecki Sopur. Jeździ tam m.in. Edward Maalouf, Libańczyk mieszkający w Holandii. Jak dla mnie to jest jednak Polak, bo nawet zna nasz hymn. W bliższych planach mam, między innymi, start w maratonie. Myślę, że się uda zwyciężyć.

- Optymista?

- Taki już po prostu jestem. Nigdy nie byłem stworzony do narzekania. Wychodzę z założenia, że zawsze trzeba iść do przodu. Ja nigdy nie miałem marzeń, zawsze miałem przede wszystkim cele. A jeśli nie uda się zrealizować jakiegoś celu, to tak bardzo nie boli. Można odłożyć go na później. Mam czas. Jeżeli przeżyję w Bejrucie, to jeszcze trochę pociągnę. Wszystko po kolei.

- Ale nie ma pan żadnych marzeń?

- Nie, marzenia mogą się nie spełnić. Po co je mieć?

- Czyli realista?

- Nie czarujemy się. Ja naprawdę mam bardzo dużo szczęścia w życiu. Chyba przeczę wszystkiemu temu, co może sobą reprezentować osoba niepełnosprawna w Polsce. Nigdy nie widziałem żadnych problemów. Jakoś sobie radzę w życiu, z ludźmi. Dostyc dobrze wychodzi mi sport, którym się zajmuję. Mam szczęście do ludzi. Gdybym sobie coś zamarzył, to jeszcze nie wyjdzie... Więc po co?

- W dzieciństwie grał pan z rówieśnikami w piłkę, był dla nich kumplem także na boisku, mimo, że urodził się pan niepełnosprawny. Czy to normalne dzieciństwo pomogło w dorosłym życiu?

- Chyba tak. Rodzice nigdy nie trzymali mnie w domu, nigdy nie wysłali mnie do specjalnego ośrodka. Oczywiście nie mam nic przeciwko tego typu instytucjom, ale uważam, że przede wszystkim dzieciaki, osoby niepełnosprawne, należy „wygonić” z domu, do ludzi. Całe swoje dzieciństwo spędziłem w Szczecinie, dopiero później dzięki sportowi zacząłem jeździć po świecie. Kontakt z innymi ludźmi jest bardzo, bardzo ważny i szalenie potrzebny.

- Był pan w młodości niepokorny...

- Bez przesady. Potrafiłem się pobawić. Rzeczywiście w dzieciństwie grałem z kolegami w piłkę, zawsze na bramce, bo poruszałem się o kulach. Nigdy piłki się nie bałem. Nie mogłem z nimi pobiegać. Trochę zmieniło się, gdy rozpocząłem współpracę z Polskim Radiem. Dzięki temu trafiłem do klubu dla niepełnosprawnych. Wtedy tak na dobrą sprawę po raz pierwszy zobaczyłem innych niepełnosprawnych. Dla mnie nigdy coś takiego nie istniało. Dla mnie i dla moich kolegów, którzy się ze mną wychowali. Nie byłem i nie jestem przecież żadnym kosmitą, normalnie żyłem i nie zwracałem na to uwagi. Martwiłem się tylko o jedno – jak będę sobie radził w życiu z kobietami... Jak widać, jakoś mi to poszło, bo mam fantastycznego czteroletniego synka Jędrzeja. Jestem zadowolony.

- Trafiał pan do klubu sportowego „Start”. Co pana tam przytrzymało?

- Strzelectwo! To był pierwszy sport, którym się tam zająłem. Musiałem odwiedzić wszystkie sekcje po kolei, miałem być przekąźnikiem pomiędzy klubem a słuchaczami. Stopniowo poznawałem ludzi. Pojechałem na jedne zawody, potem drugie. Rozpocząłem od strzelectwa. Jednak okazało się, że nie jestem do tego stworzony. Do siedzenia w ciemnej hali, po cichu. Ja potrzebuję pogadać, pobawić się. Fajny sport, ale nie dla mnie. Gdy po raz pierwszy zobaczyłem wózki, wiedziałem, że to jest to!

- Świat stanął przed panem otworem?

- Przez dziesięć lat zjechałem całą Polskę wzdłuż i wszerz. Nie ma takiego miejsca w naszym kraju, gdzie bym nie był. Od 2005 roku dzięki firmie Vobis, która jest moim sponsorem i której bardzo wiele zawdzięczam, mam specjalny handbike, ręczny rower do ścigania. Poszedłem w świat. Jestem znany w Szczecinie, mam stypendium miasta. U mnie ten sport jest już traktowany normalnie. Podobnie jest w Europie. Ci, którzy jeździli na wózku sportowym przesiedli się na handbike'a. Również zdrowi ludzie, pełnosprawni, mogą startować, choć nie na mistrzostwach świata i nie na paraolimpiadzie. W innych zawodach nie ma takiego ograniczenia, że ktoś musi mieć coś złamane, krzywe, żeby móc startować. Kręcimy rękoma. Każdy może to robić. To jest znakomita integracja.

- Zaczęło się od wózków siedzących, ale dopiero od niedawna ściga się pan w pozycji leżącej.

- Pozycja siedząca była idealna do finiszu. Świat robi postępy. Kiedyś wystarczyło dojechać do mety w czołowej grupie, by walczyć o zwycięstwo. Teraz zawodnicy jeżdżący w pozycji leżącej, zaledwie trzy centymetry nad ziemią, są dużo szybsi. Trzeba uważać, szczególnie na polskich drogach, ja mam już mocno poorany sprzęt... Jadąc nie widzę żadnych dziur, żadnych nierówności, oglądam głównie drzewa i niebo. A wracając do pozycji – na tamtym sprzęcie, bazując na mięśniach grzbietu, na finiszu można było rozegrać wyścig. Pozycja leżąca powoduje, że zawodnicy, wykorzystując walory aerodynamiczne, od startu narzucają ogromne tempo.

Jestem jednym z ostatnich Europejczyków, który się położył. To od razu przełożyło się na wyniki. W Bostonie wygrałem na starym sprzęcie. Potem, w wakacje, przesiedłem się na nową konstrukcję. Nie miałem ze zmianą problemów, bo już po trzech miesiącach zrobiłem rekord Polski – podczas maratonu w Berlinie uzyskałem czas 1:10.08. Ta aerodynamika pozwoliła mi odnieść pewne zwycięstwo w Nowym Jorku. Więk-



szość trasy przez Brooklyn, Manhattan, Bronx, prowadziła na północ, a z tego kierunku strasznie wiało, było bardzo zimno, więc każda inna pozycja niż leżąca, praktycznie dyskwalifikowała zawodnika. Prowadziłem od startu do mety i pewnie wygrałem.

- Istnieje ryzyko kontuzji?

- Nawet nie bardzo. Choć kiedyś widziałem jednego takiego, któremu się na tym sprzęcie zębatki wbiły w klatkę...

- Ile czasu poświęca Pan na treningi?

- Teraz to już jest wytrenowanie. To będzie już mój trzynasty, czternasty sezon, w którym naprawdę staram się uczciwie trenować. Moja jazda bazuje na sile, więc głównie o nią muszę dbać.

- Igrzyska paraolimpijskie to temat, do którego chyba niechętnie pan powraca...

- Faktycznie. O Pekinie bardzo nie lubię mówić, bo szkoda zdrowia... Polsce przysługiwały dla kolarstwa dwa miejsca. Pojechały dwa tandemy. Zabrakło miejsca dla mnie, mówi się trudno. Polska nie wystąpiła nawet o dziką kartę dla mnie. A najprawdopodobniej bym ją uzyskał, ponieważ wiem, kto na tych zasadach pojechał ze świata, a byli to zawodnicy, z którymi normalnie wygrywam. Mówi się trudno i żyje się dalej. Nie będę tego rozpamiętywał. Są następne starty, następne zawody. Trzeba wziąć się uczciwie za trening. Dzięki mojemu nowemu teamowi chcę nie tylko poprawić rekord Polski, ale poprawić go znacznie. Chcę zbliżyć się do magicznej granicy jednej godziny. Myślę, że dzięki konstrukcji i mojemu zespołowi jestem w stanie to osiągnąć.

- Ilu w Polsce jest zawodników, którzy uprawiają tę dyscyplinę sportu?

- Niezbyt dużo. Uzbierałoby się 20-30 osób. Niestety, sprzęt jest naprawdę drogi. Kluby są biedne, a sport

jest trudny. Żaden klub nie kupi sprzętu dla kogoś, kto może szybko zrezygnować. Znałem kilku takich „orłów”, którzy pojechali na jedne, drugie zawody i nikt ich później nie widział. Nie mamy wielu zawodników, ale prezentują oni wysoki poziom. Jest oprócz mnie trzech, czterech, którzy mogą się w świecie pokazywać i wstydu nie przyniosą. Ja pierwszy w Polsce się położyłem. Drugi będzie Zbyszek Wandachowicz, numer dwa w Polsce, zresztą mój kolega, który w tym roku zdobędzie taką samą konstrukcję jak ja. Będziemy się poprawiać.

- Ile kosztuje handbike, taki, który ma pan teraz do swojej dyspozycji?

- To, na czym ja się w tej chwili ścigam, to jest koszt rzędu 4,5 tysiąca euro. Są dofinansowania, ale ciągle to kupa kasy. Można za to kupić samochód. Nowych zawodników do tego sportu przybywa bardzo mało. Teraz to w większości ci, którzy startowali na wózkach sportowych. Ludzie, którzy mają twarde charaktery.



- A pan jest typem twardziela? Ma pan odpowiedni charakter?

- Twardziela... Charakter trzeba mieć. Ja kiedyś byłem leniem strasznym.

- Za granicą jest pan bardziej znany niż w Polsce?

- Tak się składa. Jeżeli chodzi o sport niepełnosprawnych, to na pewno tak. Dwa lata temu mogłem jeździć w każdym teamie na świecie, ale chciałem najpierw wygrać wszystko indywidualnie. Teraz jednak już się tak nie da. Trzeba było wejść w ten mechanizm.

- Czy to, że jest Pan osobą niepełnosprawną, dopinguje pana do wzmożonego wysiłku, by pokazać ludziom pełnosprawnym, że każdy potrafi?

- Absolutnie nie. Nigdy nie patrzę przez pry-



zmat pełnosprawności, niepełnosprawności. Pamiętam jak przyjmowano mnie do pracy. Miałem do wyboru stanowiska, dziekan mnie zapytał, które by mnie bardziej interesowało, odpowiedziałem, że bez względu na wszystko wybieram wariant trudniejszy. Tak samo teraz jest ze sportem. Być może pojechałbym na paraolimpiadę jako zawodnik innej dyscypliny, ale wybrałem ten trudniejszy wariant. Zawsze wychodzę z założenia, że lepiej dostać bity od lepszego niż wygrywać ze słabszymi. Jeżeli jestem pewny, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, to wszystko jest ok.

Rozmawiał: Daniel Bednarek

